

Tłumaczenie „The Warsaw Rising” [Powstanie Warszawskie]

Lipiec 1944 był gorącym miesiącem w Warszawie, ale niewiele osób zwracało uwagę na pogodę. Z fascynacją i przyjemnością obserwowaliśmy widoczne znaki niemieckiego odwrotu przed armią sowiecką. Długie kolumny żołnierzy przechodziły przez miasto w dzień i w nocy. Słyszeliśmy wyraźnie dźwięk ciężkiej artylerii od wschodu, po drugiej stronie Wisły. Sowieckie samoloty czasem przelatywały nad miastem. Niemcy byli w nerwowym, złym nastroju, wężąc wszędzie sabotaż.

Podziemna Armia Krajowa licząca około 30 000 osób była mobilizowana do jakiejś akcji. Chłopcy z obecnej armii, ja i przyjaciele, którzy wstąpili do AK poprzedniego roku utworzyliśmy kompanię siedemnasto- i osiemnastolatków. Nasze motywacje były proste: pragnęliśmy okazać działaniem naszą nienawiść do Niemców, nie chcieliśmy siedzieć i czekać aż nas oswobodzą Rosjanie. Wielu z nas oburzał fakt, że komunistyczny „rząd cieniów” został właśnie ustanowiony odgórnie w Lublinie, za rosyjską linią frontu. Uważaliśmy, że polski rząd na wygnaniu w Londynie jest praworządny i byliśmy gotowi okazać mu naszą lojalność.

W końcu lipca zdaliśmy sobie sprawę, że powstanie jest o krok. Pierwszego sierpnia około południa przyszła wiadomość: „Zaczyna się po południu”. Pobiegłem do domu, aby coś zjeść i zmienić ubranie. Moi rodzice, wiedząc że jestem w AK czuli, że coś się szykuje. Przed wyjściem pocałowałem matkę i to mnie niemal wydało. Spojrzała na mnie ostro i zapytała z niepokojem: „Wrócisz dziś wieczorem, jak zwykle, nieprawdaż?”. Udzielając odpowiedzi skłamałem, ale byłem pewny, że rozstajemy się tylko na parę dni. De facto spotkałem się znów z rodziną dopiero po przeszło 12 latach.

Wskoczyłem do przepelnionego tramwaju jadącego na Mokotów, dzielnicy na południu Warszawy, do domu, gdzie nasza jednostka zbierała się. Stałem na tylnej platformie tuż obok dwóch SS-manów, przestraszony świadomością moich wypchanych kieszeni. Dostałem sześć brytyjskich granatów do przewiezienia i po prostu włożyłem je do dwóch kieszeni marynarki. Wysiadłem na tym samym przystanku co Niemcy, którzy zmierzali do dużego budynku, niegdyś średniej szkoły, obecnie silnie strzeżonych i obwarowanych koszar. Moim miejscem przeznaczenia był natomiast niewielki prywatny dom znajdujący się nie więcej niż blok lub dwa od koszar.

Mój pluton był tam już w pełnym składzie. Kazano mi położyć się na podłodze obok innych i zachowywać się cicho i spokojnie. Było to parę minut po drugiej. Minęła godzina, dwie. Gdzieś w dali rozległy się strzały, potem broń maszynowa. Wciąż czekaliśmy. Wpół do czwartej, piąta; ktoś zapukał do drzwi. Dowódca plutonu zjawił się i powiedział: „Na to czekaliśmy chłopcy. Wstawajcie”. Wyszliśmy do niewielkiego parku przed domem (był to park Dreszera). Nasz dowódca wyjął pistolet i włożył go sobie za skórzaną pas, który nosił na marynarce. Był to wspaniały, symboliczny gest; oznaczał, że wynurzaliśmy się z podziemia i z konspirantów stawaliśmy się powstańcami. Ale gdzie była nasza broń? Ładna młoda blondynka przyniosła pęk biało-czerwonych opasek, które kazano nam nałożyć. Według jakiejś konwencji międzynarodowej rzekomo dawały nam one status

żołnierzy stawiały nas pod ochroną reguł wojny. W rzeczywistości rozdrażnieni Niemcy nie zwracali najmniejszej uwagi na opaski i rozstrzeliwali wszystkich jeńców traktując ich jako „bandytów”. Dopiero znacznie później, gdy Brytyjczycy zagrozili sankcjami w formie odwetu Wehrmacht zmienił swe zachowanie. Ale nie SS – w dalszym ciągu uważali, że mają prawo zabijania jeńców.

Kiedy czekaliśmy na broń park zapełnił się młodymi ludźmi z innych plutonów naszej kompanii. W końcu nadjechała taksówka z biało-czerwoną flagą na masce samochodu i wyładowano różną broń. Nasza chciwość zamieniła się w rozczarowanie, gdy zdaliśmy sobie sprawę, że ma być podzielona między trzy plutony. Nasz przydział to był jeden pistolet maszynowy i pięć karabinów plus amunicja i parę granatów (butelek z benzyną – tzw. „koktajl Mołotowa”), co wystarczyło na uzbrojenie połowy ludzi. Dla reszty ta pierwsza noc była strasznym rozczarowaniem – nie mieli nic do robienia.

Szczęśliwa połowa kompanii wkrótce poszła do akcji przeciwko ufortyfikowanym koszarom. Dwa czy trzy razy Polacy próbowali natarcia, ale zostali odparci przez ciężki niemiecki ogień. O świcie nasze jednostki wycofały się i zaczęły przygotowywać się do niemieckiego kontrataku. Było to rozczarowaniem, ale wiadomości z innych sektorów Mokotowa i reszty Warszawy były bardziej zachęcające do walki. Duża część miasta została oczyszczona z nieprzyjaciela. Następnym krokiem było połączenie wszystkich sił powstańczych ze sobą. Niemcy starali się nie dopuścić do tego poprzez utrzymanie w swych rękach kluczowych budynków i ulic dopóki nie nadejdą posiłki.

Pierwszymi ofiarami powstania byli cywilni Polacy pozostawieni za niemieckimi liniami. Byli wypędzeni z domów, ograbiani. Mężczyźni, szczególnie młodzi, byli setkami poddawani egzekucjom. Niesamowite okrucieństwa działy się tylko kilkaset metrów od naszych pozycji. Niedaleko nas (na ulicy Rakowieckiej) znajdował się dom ojców Jezuitów, dobrze znanych podczas okupacji ze swych kazań o politycznym i patriotycznym wydźwięku. Został otoczony przez SS-manów, którzy spędzili wszystkich do piwnicy i zmasakrowali ogniem z karabinów maszynowych.

Po naszej stronie mężczyźni i kobiety, którzy przedtem nie byli w podziemiu, przyłączali się, a młodzi chłopcy mający nie więcej niż dwanaście, trzynaście lat błagali, aby ich wziąć na kurierów lub ordynansów. Jednym z ich zadań było dostarczanie listów z jednej dzielnicy do drugiej poprzez kanały. Armia Krajowa wydała nawet własne znaczki podczas powstania. Była to jedna z rzeczy, która stwarzała iluzję niepodległości. My delectowaliśmy się tą wizją. Afisze z patriotycznymi apelami oraz nakazy władz wojskowych i cywilnych pojawiały się jak grzyby po deszczu. Dzienniki i periodyki zaczęły wychodzić regularnie, a stacja radiowa kontrolowana przez powstańców zaczęła emitować audycje. Polskie flagi i orły zastąpiły niemieckie flagi i swastyki. Ulice i place wróciły do swych starych nazw, zaś napisy w języku niemieckim były zamalowywane.

Niemal zaczynaliśmy zapominać o koszmarze okupacji, a nawet samo powstanie przesunęło się na drugi plan. Pamiętam, że po tygodniu na linii frontu mój pluton został zwolniony i wysłany na krótki odpoczynek. Zakwaterowano nas w dużej pustej willi, której zamożni właściciele

prawdopodobnie byli na wsi na wczasach. Znaleźliśmy jedzenie, trunki, papierosy i wspaniałą bibliotekę. Właśnie tam odkryłem powieści P.G. Wodehouse'a w polskim tłumaczeniu. Zacząłem od „Leave it to Psmith”, którą przeczytałem galopem. Znalazłem drugą powieść, przeczytałem ją i zacząłem trzecią, kiedy wezwano nas na front. Nie mogę wyjaśnić tej całkowitej absorpcji w świecie ubogich młodych mężczyzn, bogatych ekscentrycznych arystokratów i dyskretnych lokajów, tak kompletnie innego od mego życia. Powieści utkwiły mi w pamięci. Przez półtora roku, zanim przyjechałem tutaj, był to jedyny obraz Anglii w mej wyobraźni. Wracałem do willi, aby pożyczyć dalsze książki, do chwili, kiedy pewnego dnia okazało się, że willa znikła z powierzchni ziemi uderzona niemiecką bombą.

Bombardowanie stało się bardzo uciążliwe w drugiej połowie sierpnia. Było to dzieło trzech samolotów bombowych, tzw. nurkowców. Startowały rano z lotniska w pobliżu Mokotowa, pozbywały się swego ładunku, brały nowy zapas bomb i wracały pół godziny później z nieubłaganą regularnością przez niemal 12 godzin dziennie. Nie mieliśmy żadnej obrony przeciw nim. Szukało się gdzieś schronu, gdy „stukasy” pojawiały się, ufano szczęściu. Pewnym popołudniem szedłem do pobliskiego szpitala w poszukiwaniu młodszego brata, który gdzieś zaginął. Trzy znajome samoloty pojawiły się nad dzielnicą, pobiegłem więc do piwnicy sporego, solidnie wyglądającego domu, gdzie wiele innych osób – wśród nich dużo kobiet i dzieci – schroniło się. Najpierw usłyszałem ryk nurkującego silnika, potem był moment ciszy, a następnie druzgot walących się murów. Znaleźliśmy się pod trzema piętrami gruzu. Od śmierci uratowały mnie dwie grube belki, które utworzyły osłonę przed spadającymi elementami budynku. Ratownicza drużyna wykopała mnie po trzech godzinach, ale niewiele innych osób przeżyło. Zabrano mnie do zaimprovizowanego szpitala, tzw. lazaretu, w piwnicy innego domu i zatrzymano na około dwa tygodnie.

Kiedy powróciłem do swej jednostki, znalazłem ją w zupełnie innym nastroju. Niemcom udało się przerzucić część czołgów i oddziałów z frontów rosyjskich, które zaczęły silnie naciskać na nas. Nadzieje na dużą pomoc zachodnią z powietrza znikły. Było sporo nocnych zrzutów broni i amunicji dokonywanych przez alianckie samoloty z baz we Włoszech, jeden duży amerykański zrzut dzienny, z których niestety Niemcy skorzystali więcej niż my. Zaczęto mówić o kapitulacji i podobno zaczęły się jakieś próby negocjacji. Nagle 11 września armia sowiecka dotarła na obrzeże Warszawy i zajęła dzielnice leżące na wschód od Wisły. Nasze nadzieje znów odżyły. Pomoc Rosjan wydawała się niemal pewna. Ludzie wyszli na ulice w przystępie radości. Przez parę dni mosty po polskiej stronie były bronione, aby pomóc Rosjanom przepłynąć się. Niestety, po ogromnych stratach, wąskie polskie przyczółki trzeba było porzucić. Wyglądało na to, że Rosjanie nie byli zainteresowani uratowaniem powstania przed klęską i to – o czym zdałem sobie sprawę później – było prawdą. Dla wielu naszych liderów powstanie było czysto politycznym przedsięwzięciem. Mieli nadzieję, że uzyskawszy kontrolę nad Warszawą zrobią wrażenie na społeczeństwie swoją siłą i zmuszą Rosjan do negocjacji z polskim rządem na wygnaniu w Londynie. Nic zatem dziwnego, że Rosjanom było wygodnie, aby Niemcy nas zniszczyli.

Jedna dzielnica po drugiej wpadała w ręce Niemców. Po bombardowaniu następował ostrzał z ciężkiej artylerii. Moździerze i co gorsza rakiety zrywały ściany całych domów. Piwnice przepełniły się rannymi, kobietami i dziećmi. Zaczęło brakować wody i trzeba było ją racjonować. Chleb, mięso i tłuszcze znikły i wkrótce nasz dzienny posiłek zmniejszył się do jednej miseczki niesmacznego kleiku. Mogliśmy zdobyć jedynie grabieżą świeże jarzyny z ogródków działkowych w ziemi niczyjej organizując zbrojne patrole nocne. Rzykowało się życiem za worek ziemniaków, pomidorów czy fasoli. Głód zmuszał ludzi do jedzenia koni, psów i kotów. W końcu Niemcy pozwolili cywilom opuścić Warszawę przez ich linie i wielu z tego skorzystało.

Pod koniec września Niemcy zaczęli swój atak na Mokotów. W niedzielę rano lawina bomb, pocisków i rakiet spadła na dzielnicę. Ten proces zmiękczenia trwał cały dzień. Kiedy zapadła noc, Niemcy ruszyli do akcji. Tej samej nocy moja kompania została skierowana na tyły, aby wzmocnić naszą obronę. Byliśmy tam dwie noce i dzień, desperacko broniąc jeden dom po drugim, lecz Niemcy wciąż nas wypierali. W tym krótkim czasie połowa naszych ludzi została zabita lub ciężko raniona. Utrzymywaliśmy mniej niż kwadratową milę Mokotowa, otoczeni czołgami i wojskowymi jednostkami. Nie byliśmy w stanie wytrzymać więcej niż parę godzin. Nasze jednostki miały być zatem ewakuowane, począwszy od tej nocy, kanałami do ostatniej śródmiejskiej części dzielnicy będącej w rękach polskich.

Następnych dwanaście godzin było dla mnie największym horrorem w okresie powstania. Ci którzy oglądali polski film „Kanał” mogą wyobrazić sobie co to było. Przed świtem znalazłem się w długim ogonku żołnierzy wchodzących do włazu, który był wejściem do kanału. Ktoś dał mi niemiecki pistolet maszynowy do niesienia, dwadzieścia naboju i dwie butelki wódki. Kolejka ruszała się naprzód strasznie powoli i stojąc w niej cierpieliśmy męczarnie. W końcu, po trzech godzinach, przyszedł czas na nas. Po zejściu na dół czołgaliśmy się niskim tunelem do głównego kanału, który miał może dziesięć stóp wysokości i pięć szerokości. Tam była druga kolejka. W ciemności i ciszy, z ręką na ramieniu człowieka przed nami, po kolana w śmierzdzącej, zamulonej cieczy brodziliśmy powoli naprzód starając się nie chlapać lub pośliznąć. Od czasu do czasu słyszeliśmy czołgi toczące się nad nami i fragmenty niemieckich rozmów. Nagle po linii przebiegła błyskawiczna wiadomość: „Nie ma przejścia, wszystko zablokowane przez Niemców”. Nastąpił chaos, gdyż ludzie będący przed nami zaczęli zawracać, podczas gdy ci z tyłu pchali się naprzód głusi na ostrzeżenia. Nagle w powietrzu nastąpił wybuch i poczuliśmy silny smród, który wywołał panikę. Szeregi połamały się, jednostki rozdzieliły, a ranni zaczęli upadać. Podniósł się wrzask i krzyki: „Topią nas! Gaz! Czy czujecie gaz? Wracać do Mokotowa!”.

Mnie i dwojgu przyjaciółom – wszystko co pozostało z naszej jednostki – udało się przepchnąć z powrotem. Za nami nastąpiła kolejna eksplozja, a potem trzecia, jeszcze bliżej. Niemcy zdali sobie sprawę, że kanał był pełen ludzi. Przyłgnęliśmy do lepkiej, gładkiej, zaokrąglonej ściany kanału. Minęły sekundy, potem minuty. Nic się nie działo. Nasze nerwy nie wytrzymały dłużej napięcia. Porzuciliśmy wszystką broń i ruszyliśmy do najbliższego włazu. Ktoś wspiał się w górę i krzyknął łamanym niemieckim: „Deutsche Soldaten! Nicht schiessen! Hier Polnische Kamaraden!”.

Niemcy ryknęli śmiechem i krzyknęli: „Raus!”. Klapa wjazdu podniosła się i jeden po drugim nasza mała grupa wynurzyła się, oślepiona słońcem. Żołnierze, dzięki Bogu, byli z Wehrmachtu. Zrewidowano nas, zabrano zegarki i pieniądze i odmaszerowano pod strażą w okolice tego samego małego parku, gdzie zebraliśmy się 1 sierpnia.

Centrum skapitulowało parę dni później i 5 października reszta powstańców zaczęła niewolę. Przyłączyli się oni do nas w przejściowym obozie blisko Warszawy, skąd w zatłoczonych wagonach towarowych rozesłano nas do obozów jenieckich po całym Niemczech. Pozostali cywile zostali zmuszeni do opuszczenia Warszawy lub trafiali do obozów; niektórzy skończyli w Auschwitz lub innym obozie koncentracyjnym. Warszawa stała się miastem-widmem, całkiem wyludniona, za wyjątkiem niemieckich jednostek saperskich, które w zwykły niemiecki systematyczny sposób zabrały się do wysadzania wszystkich stojących jeszcze budynków. Zanim skończyli, ich pracę przerwała masywna ofensywa sowiecka 11 stycznia 1945 roku. Tego samego dnia Armia Czerwona zajęła Warszawę. Nie było wiwatów, kwiatów i wyrazów wdzięczności dla zwycięzców, nie było kogo wyzwalać. Pozostały tylko ruiny i trochę opustoszałych budynków.